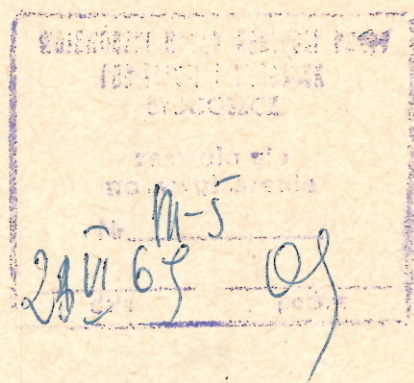


data: 24. VI. 69
godz: 12²⁵ 12³⁵

Jerzy Sulima-Kamiński

Redakcja Literacka



PM
91

" Ballady o prestiżu "

Ballada numer jeden się zaczyna; lirnik do wtóru przygrywa:

Był sobie raz pewien pan i pewna pani. Owi państwo nie tylko że należeli do siebie wzajemnie. Każde z nich z osobna należało jeszcze do swojej rodziny, do pewnej grupy zawodowej, a ta grupa z kolei należała do pewnego środowiska.

Tak owa pani jak i ów pan, każde oddzielnie i oboje wspólnie, ich rodziny, grupy i środowisko, cieszyli się pewnym naturalnym, ściśle tradycją i funkcją społeczną odmierzoną prestiżem. Czyli autorytetem.

Atoli pani ta, pewnego niefortunnego dnia opuściła podwoje pewnego supersamu - zapomniawszy uprzednio uścić w kasie należność za - powiedzmy drobiazg - osekkę śmietankowego twarożku. Rodzaj towaru nie odgrywa w tej balladzie zasadniczego znaczenia. *no li.*

I stało się, co się prędzej czy później stać musiało. Pani ta bęknęła za swoje "zapominalstwo". Została zdemaskowana.

W tym miejscu milkną struny liry. Kończy się ballada numer jeden, - lecz zaczyna problem.

A zaczyna się dlatego, że owa pani i jej pan są członka-

mi swoich rodzin, należą do swoich grup zawodowych, te zaś z kolei stanowią pewne określone środowisko, będące pod ścisłą moralną kuratelą "konkurencyjnych" grup zawodowych i środowisk społecznych. Dla wielu każdy Szkot to sknera, każdy Włoch leniem, każdy rozwodnik draniem. Lubimy uogólniać.

Zatem owym rodzinom, owym grupom zawodowym, owemu środowisku wyrządzona została ciężka krzywda. Zresztą pal sześć owe grupy i środowiska - mimo całej konkretności, jest to przecież zbiorowość anonimowa. Chodzi o tych, którzy tę zbiorowość tworzą, czyli o poszczególnych ludzi. To każdy z nich z osobna "beknął" za ów kradziony twarożek. I tak diabli wzięli autorytet, lub jak kto woli, prestiż.

Ballada numer dwa się zaczyna, lirnik robi swoje.

Było ~~sobię~~ raz podwórko. A ludzie z tego podwórka umyśleli sobie, że wbetonują w ziemię drągi, żeby można na nich rozwieszać linki i suszyć bieliznę. Wici rozeskali, bractwo sznurem się stawiko. Robota jak ulał dla czynu społecznego. Jak umyśleli tak i zrobili. W rękach im się paliło, pot lał się ciurkiem, a łopaty ino tak migały.

Aliści wnet spostrzegli, że betonu za mało i że trzeba czymś te dziury zapchać. Tak rada w radę, wyjście się znalazło. Nieopodal plac budowy...

I tatusie do dzieci: - "skoczcie no po cegły". To i skoczyły posłusznie, żwawo, na wyprzódki, jedno przez drugie, to w "cywilu", to w harcerskich mundurkach, jak te pszczołki uwijający się pracowicie. Bo i dlaczegóżby nie? Przecież i pani w szkole ciągle, aż do znudzenia, prawi: - "Praca społeczna- święty obowiązek, do tego honor i nauka". A tatusiów słuchać też trzeba, tatusie mają autorytet, i rozum swój też mają. ..

Dzieci aż puchną z dumy. Drągi stoją, ani drgną.

W tym miejscu milkną struny liry. Kończy się ballada numer dwa. Lecz problem dopiero się zaczyna.

A zaczyna się dlatego, że przez proste zapychanie dziur kradzionym materiałem, w łeb wziął cały moralny i wychowawczy prestiż społecznego czynu. Pozostał tylko czysty, użyteczny fakt. Drągi stoją. Wprawdzie bielizna będzie się na nich suszyć tak samo dobrze jakby miały "uczciwe" fundamenty, ale....

Ale dzieci na pewno w przyszłości przypomną sobie, jak to w prosty sposób można się salwować z podobnych kłopotów. Dla nich praca społeczna nigdy już nie będzie "nauką i honorem". Potraktują ją niczym pańszczyznę, szarwark, darmochę. I słusznie, są przecież pojętne. Skoro nauczyły ~~ich~~ je tego ojcowskie autorytety...

Ballada numer trzy. Może być bez lirnika.

Była sobie pewna zacna instytucja, a w tej instytucji pewien dyrektor-czyścioszek. Dyrektor-czyścioszek bardzo lubił porządek, a już pasjami nie lubił śniegu - chociaż biały i nic czystsze go nad czysty śnieg. I nie znosił ten dyrektor-czyścioszek śniegu na chodniku przed swoją instytucją. Taki ci on był akuratywny. A pewnej zimy padał śnieg i nikt z tych, do których to należało, śniegu nie sprzątał. Tedy wziął ów dyrektor-czyścioszek słuchawkę w garść i nuże rozdzwaniać się po swoich podwładnych:- "Wszyscy in gremium spotykamy się przy łopatach; śnieg będziemy szuflować! -" I wszyscy się zeszli, jak był sobie tego ów chlebobawca życzliwy. Naturalnie, dyrektor-czyścioszek, nie omieszkał takiej wzorcowej okazji, też osobiście uczestniczył, a jakże-ale nie z łopatą, lecz z - aparatem fotograficznym...!

W tym miejscu kończy się ballada numer trzy. /Lirnika, o ile pamiętam, nie było./ Lecz problem dopiero się zaczyna...

A zaczyna ~~dzisiaj~~ dlatego, ponieważ dyrektor-czyścioszek zapewne sobie myśli, że posiada coś, czego nie posiada. Mianowicie - prestiż. A nie może mieć prestiżu, gdyż nie poparł swej ~~swej~~ inicjatywy osobistym przykładem pracy, gdyż wystąpił wobec swoich podwładnych w roli "reżysera widowiska", a nie współuczestnika " na równych prawach". A także i dlatego, że dla niego "Złota Księga" z fotografią z odsnieżania jest ważniejsza niż samo odsnieżanie. I chociaż śnieg został usunięty, to jednak z punktu widzenia moralnego, cała ta społeczna praca funta kłaków nie była warta. Zmarnował ją ten cały pic i fotomontaż dyrektora-czyścioszka, który sam zdradził swoją, skądinąd słuszną, akcję.

Ballady numer cztery nie będzie. Nie będzie, gdyż musiałaby być i piąta i dziesiąta i stutysięczna.

A Może nie należy rozszczepiać włosa na czworo? Może nie trzeba docierać do "drugiego dna" tych spraw i szukać dla nich wspólnego mianownika?

Może...

Gdyby kto jednak uparł się i chciałby sobie ten problem szczegółowo przemyśleć - ten ma dziś po temu jedyną w swoim rodzaju okazję: dziś bowiem mamy najdłuższy dzień w roku.